Rolnicy polscy, mali i wielcy — łączcie się!

Rok III. Kraków, dnia 6. Czerwca 1909 r. Nr. 23.



TYGODNIK ILUSTROWANY, ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ROLNIKÓW.

Wychodzi na niedzielę.

Przedpłata: Rocznie 4 korony, półrocznie 2 korony. Do Ameryki 2 dolary, do Niemiec 6 koron. **Prenumeratę przyjmuje wyłącznie** Biuro dzienników J. Hopcasa i A. Salomonowej w Krakowie, ul. Sławkowska. — **Ogłoszenia** należy nadsyłać do Administracyi „Roli" w Krakowie, Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara, Rynek główny L. 8. — Cena ogłoszeń 20 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi (z wyjątkiem listów o prenumeratę): Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie, Rynek główny L. 8, I. piętro. — Numer pojedynczy 10 halerzy.

Stan zasiewów w Austryi.

Austryackie ministerstwo rolnictwa ogłasza sprawozdanie o stanie zasiewów z połowy maja, wedle którego oziminy wogóle nie ucierpiały tak bardzo pod wpływem niepogody, jak raczej wskutek silnych przymrozków rannych z początkiem kwietnia. Szkodziło to nie tylko pszenicy rzadkiej, ale nawet i tej, która z pod śniegu wyszła silnie i dobrze. Temperatura ciepła w połowie kwietnia poprawiła stan zasiewów, ale w krajach alpejskich, w Morawach południowych i w krajach południowych nie wiele już pomogła. Przeorki zasiewów późnych były w krajach alpejskich, z wyjątkiem Austryi Dolnej, nieznaczne, na Pobrzeżu i Dalmacyi znaczniejsze, zaś bardzo znaczne — około 50 prc. pszenicy — w niektórych okolicach Czech. We wielu okolicach krajów Sudeckich i nizko położonych okolicach krajów karpackich, wynosiły 20 do 25 prc. Wydatne deszcze majowe przydały się wprawdzie, ale równocześnie temperatura mroźno-zimna i śniegi przeszkadzały rozwinięciu się wegetacyi.

Zasiewy żyta wyglądają dobrze, potrzeba tylko pogody ciepłej. W krajach Sudeckich są „średnio dobre", w alpejskich „średnio dobre i dobre", w karpackich „średnio dobre". Wogóle stan żyta jest lepszy niż pszenicy, którą w Czechach oznaczają jako „średnia i słabo-średnia", na Morawach „średnia i zaledwie dobra", w Tyrolu, Pobrzeżu, Dalmacyi „prawie dobra". W innych krajach „średnio dobra". Rzepak musiał być w wielu miejscach przeorany i został wskutek przymrozków jeszcze więcej uszkodzony.

W Galicyi — wedle sprawozdania ministerstwa — zdarzają się pojedyńczo zasiewy dobre, zaś w Czechach liczą się ze zbiorem 50 prc. Zasiewy letnie (pszenica i żyto) są w Czechach zadowalające, w innych krajach, z wyjątkiem Galicyi i Bukowiny, gdzie stan zasiewów jest miejscami rzadki, można oznaczyć jako „prawie dobre". Jęczmień i owies

w suchych miejscach krajów Sudeckich i alpejskich nieszczególne, w mokrych zaś wychodzą prędko i gęsto. W Czechach i na Morawach w połowie kwietnia rozwój normalny, później wskutek deszczu i zimna żółtokońcowe. Wogóle są zasiewy jęczmienia i owsa dobre, albo prawie dobre, w Pobrzeżu i Dalmacyi średnie. Kukurydza w Austryi dolnej, w Styryi średniej i Karyntyi na ukończeniu, w południowej i zachodniej części Moraw w pełnym ruchu, a we wschodniej Galicyi i Bukowinie mimo niepogody rozpoczęto z początkiem maja. Wogóle obawiają się słabych rezultatów. Dla kartofli w krajach Sudeckich, karpackich i górnych okolicach krajów alpejskich pogoda była bardzo niekorzystna. W Galicyi i na Bukowinie rozpoczęto dopiero sadzenie. W Styryi dolnej, Pobrzeżu i Dalmacyi stan dobry, albo prawie dobry. — Chmiel zdrowy i silny. Koniczyna wyszła wskutek posuchy w krajach alpejskich rzadko i nie rozwija się pomimo późniejszych deszczów z powodu braku ciepła. Późniejsze zasiewy wstrzymane są w wegetacyi skutkiem zimna. Na łąkach wegetacya w przecięciu dobra.

Na Węgrzech w pierwszej połowie maja na stan zasiewów oddziaływały bardzo korzystnie obfite deszcze, jakkolwiek temperatura tak dalece się oziębiła, że 6 maja spadł śnieg, zaś 7, 8, 9 i 10 maja przyszły dość silne przymrozki, które dla ogródków winnych i owocowych, a po części także i dla żyta były szkodliwe. Dnia 12 maja nastała odrazu temperatura ciepła, co znowu zaniepokoiło, chociaż przyczyniło się do podniesienia wegetacyi. W każdym razie stan zasiewów zimowych i wiosennych się polepszył, ale zawsze nie tak dalece, aby mógł zupełnie zadowolić.

Sprawy emigracyjne.

Niesumienni ajenci.

„Dziennik Śląski“ donosi ze Saksów o następującym wypadku:

Z pewnego majątku pod Szamotułami w W. Ks. Poznańskiem zbiegło kilku robotników galicyjskich. Próbowali oni już poprzednio uciekać, ale pierwsza ucieczka się nie udała, bo ściągnięto ich nazad przez policyę. Otóż okazało się, ze robotnicy posiadali zupełnie inne kontrakty, aniżeli pracodawca, mianowicie o dość dogodnych warunkach. Pracodawca naturalnie stosował się w obejściu z robotnikami do swego kontraktu, uważając kontrakt robotników za sfałszowany. Kto atoli go sfałszował będzie teraz trudno dociec, bo taki kontrakt robotnicy otrzymali od agenta R. Ramera w Łańcucie w Galicyi. Naszem zdaniem pisma galicyjskie powinny więcej zajmować się sprawą tamtejszych wychodźców i zabrać się energiczniej do rozmaitych agentów żydowskich, którzy przez oszukańcze sposoby poprostu lud galicyjski zaprzedają.

Zamieszczając ten opis z „Dziennika Śląskiego“, musimy z naszej strony zaznaczyć, że sprawy emigracyjnej bardzo pilnujemy i o wszystkich nadużyciach ajentów, o których się dowiemy, zaraz donosimy w naszej gazecie. Ale nie zawsze to pomaga, bo ajenci bywają tak sprytni, że ani władze, ani ci których chcą oszukać, na ich różnych sposobach poznać się nie mogą. Najważniejsze jest to — na co zawsze zwracamy uwagę — trzeba ogromnie baczyć na zawierane kontrakty. Baczyć i jeszcze raz baczyć, a wtedy nie tak łatwo udadzą się ajentom ich oszukańcze sztuczki.

WYRWASY.

Rachciach ciachciach ciach! rachudrach!
Chodził po wsi „Miemiec“ w pludrach —
Z „porcelanką“, w czapce z denkiem,
Za dziewuchą! za ożenkiem!
Bo takiemu wszyćko mało —
Naszych kwiatów się zachciało!

Rachciach ciachciach ciach! rachudrach!
Wlaz do Hanki „Miemiec“ w pludrach —
Siedzi, siedzi, podryguje
I cudeńka obiecuje:
Obiecuje „furt“ dziewczynie
Kawę, jadło na słoninie —
I atłasy, i sajety.

I puchowe różne „bety“...
A co rzeknie, to podrygnie,
To talarkiem w kiesce mignie!
To zadzwoni „śrebłem“ w pludrach...
Rachciach ciachciach ciach! rachudrach!

Rachciach! ciachciach! od Warszawy!
Jak się porwie Hanuś z ławy!
Jak nie lunie „ajncwajdraja“,
Aż mu w zębach prysła faja,
Aż mu spadła czapka z denkiem!
Poszedł szwabie, z swym ożenkiem!
Wolę doma raz dzień jadło,
Niźli twoje szperki, sadło!
Wolę doma żur jałowy,
Niźli twoje złote mowy.
Niźli twoje „śrebło“ w pludrach!
Rachciach ciachciach ciach! rachudrach!

Rachciach ciachciach ciach! rachudrach!
Śmiga ze wsi „Miemiec“ w pludrach —
Gna przełajem bez zagony —
Przez fajczyska i przez żony!
Gna przełajem, aż psy wyją,
Aż mu pięty w spencer biją!
A tu za nim echem leci:
„Masz co chciałeś! a dobrze ci!
A wróć-że się! Dozwól jesce!“
Rachciach ciachciach ciach po desce!
„A wróć-że się w całych pludrach!“
Rachciach ciachciach ciach! rachudrach!

O pszczołach.

Klęska, jaką nasze większe i mniejsze pasieki tej zimy poniosły, jest najlepszym dowodem, jak nizko u nas pasiecznictwo stoi. Tak posiadaczowi pasieki większej, jakoteż i właścicielowi 2—6 uli zdaje się, że z tych kilku uli, jakie posiadają, powinni li tylko miód wybierać i nie zastanawiają się wcale nad tem, czy w polu jest wziątek, czy go nie ma, czy pszczoły mają w ulu zapasy na długą jesień i zimę; czy był czas taki po podebraniu miodu, w którymby mogły były pszczoły te zapasy uzupełnić — czy też może był taki czas, w którym musiały jeszcze i to, co na zapas zimowy złożyły, spożyć, aby z głodu nie zginąć? Ale nad podobnemi pytaniami nikt się nie zastanawia u nas.

Wielu pasiecznikom zdaje się, że kiedy w lipcu miód podebrali, to tam w gnieździe jeszcze dosyć pozostało, a zresztą — przecież pszczoły powinny sobie jeszcze do końca wziątku tyle nazbierać, aby im na jesień i zimę wystarczyło. Ale czy był ten wziątek? i jak to poznać, czy był, czy nie — o tem rzadko który wie, bo się tego nie uczył i nikt mu tego nie wytłomaczył. Nie zważają więc, że nie każde lato dopisze, że często u nas jesiennych wziątków wcale nie ma, bo i z czego miałyby być? Otawy pokoszone, a w jesieni prócz łąk i wrzosów, u nas mało co kwiecia miododajnego rośnie. Liczą więc na to, że przecież gniazda nie ruszali, że tam muszą być zapasy potrzebne na zimę, ale nie wiedzą tego, że matka do jesieni czerwi, że te zapasy młode pokolenie spożywa, bez którego roje nie przeżyłyby zimy wobec krótkiego życia pszczół, a innych zapasów nie było skąd i z czego poznosić. Pasiecznik więc — rzadko który — zapasy oglądnie, odważy na wadze i braki zawczasu sytą uzupełni; a jeśli to zrobi, to zwykle dodaje niedostateczną ilość karmy, a często i nie dość wcześnie, aby pszczoły mogły na zimę zaszyć, dlatego też z tej otwartej syty zimą pszczoły chorują, jeżeli się wogóle dostaną do niej, nim z głodu nie odpadną. Z takiej niezaszytej karmy powstaje zapyrzenie i pień spada.

Najczęściej też nasi pszczelarze zazimowują małe roje i często ze starą matką, licząc na to, że już nieraz takie zimowali z dobrym skutkiem; — i zapominają, że zima jednak nie zawsze jest lekką, lub nie zbyt długą, a więc i nie zawsze pszczolęta ją przetrzymać są w stanie. Na przykład, tegoroczna zima rozpoczęła się — po nader złem i niepomyślnem lecie i jesieni — bardzo wcześnie, bo już w październiku śniegi spadły, a trwała nieprzerwanie do końca kwietnia — któż się mógł czegoś podobnego spodziewać? odpowiedź: „każdy troskliwy o swe pszczoły i przewidujący, a w dodatku znający życie i przyrodę pszczół, pszczelarz“. Może kto powie, że po pierwszym śniegu były jeszcze dnie ciepłe i słoneczne, nawet z końcem listopada; lecz cóż pszczołom z nich przyszło, — więcej szkody niż pożytku. Za często wylatywały, więc był w ulu niepokój, zaczem i więcej spożywały pokarmu mając ruch i znowuż musiały wylatywać dla pozbycia się kału, tym sposobem zjadły w jesieni to, co im człowiek krótkowidzący przeznaczył na całą zimę i nie doczekały wiosny.

Zważywszy bowiem, że ubiegłego lata w lipcu prawie nic wziątku nie było, gdyż zdarzyły się w tym miesiącu opadnięcia roji z głodu, więc licząc choćby od września do maja, któryto miesiąc byłby 9, jakże się zatem można spodziewać, aby skąpo zaopatrzone roje przez tyle miesięcy żyć mogły!? O łączeniu roji słabych, dla lepszego przezimowania, u nas prawie niesłychać. Powie jeden, drugi, z czemże połączę, kiedy mam ul jeden słaby, a 3 silne — oczywista szkoda! — o tem, aby choćby z sąsiada słabym pniem swój połączyć, ani pomyśli, bo przecie i tegoby było szkoda, bo jakże się z wiosną dzielić, czekać na rój? któryż ma wtedy brać rój? i mnóstwo kolizyi się z takiej spółki wywiązuje — więc lepiej nie, niech zmarnieją oba pnie, urazy przynajmniej niema. Dowodem tej gospodarki pasiecznej jest obecna wiosna i niezliczona ilość próżnych pni, które z zimy wyszły ze spadłemi pszczołami. W większych pasiekach wyginęła większa połowa, w mniejszych właściciele kilku uli patrzą na same puste pnie. Z chorób, z zapyrzenia lub zimna, rzadko które padły — więc cóż było przyczyną tego „pomoru na pszczoły“ — jak zwykle mówią? Ale i „pomoru“ nie było — były to proste skutki nietylko nadzwyczaj niedobrego minionego lata, — bo jak wiadomo powinno być każdemu, że chłodne, deszczowe, wietrzne, krótkie lato, nie może wydać miododajnych roślin, a więc nie może być i wziątku — ale oraz i skutki nieopatrznego, wadliwego niedoświadczonego zazimowania pszczół i to już z winy pasieczników. Ubiegłe lato zatem bez wziątku. Możliwe zapasy z zeszłorocznej jeszcze zimy i wiosny pszczoły zużyły na karmienie czerwiu, pasiecznicy w lecie nie zasilali miodem wcale, w jesieni może i nie podkarmiali wcale lub podkarmiali niedostatecznie, więc kiedy wśród zimy pokarmu brakło, pnie opadły. Zamiast też słabe roje połączyć ze sobą, dobrze podkarmić, pozostawiali wiele słabych pni na zimę i te naturalnie albo zmatczały, albo z głodu opadły; te, które się utrzymały przez zimę, tak osłabły, że w dnie cieplejsze ulegają napadom pszczół rabujących i często razem z nimi resztki zapasów wynoszą.

Nawet silne roje nie wyszły bez szwanku z tej długiej zimy; jeżeli bowiem w ogóle żywe wyszły z zimy, to są nadzwyczajnie osłabione, a jako takie, są narażone również na napady rabujących pszczół, z któremi po całych dniach walkę staczać muszą. Takie pnie należy zasilić sytą, na raz w większej ilości podaną, od góry, lub gdzie niema szpuntu od góry, nalaniem syty w próżną woszczynę, w braku sytych zapasowych plastrów miodu. Dobrze jest dodać do tej syty na 1 litr łyżeczkę koniaku dobrego i letnio podać, aby nabrały energii i siły do tej walki o swoje zapasy. Wogóle należy aż do rozpoczęcia dobrego wziątku pszczoły i teraz podkarmiać, aby jeszcze teraz nie zginęły te, które zimę przetrzymały. Bo niestety i wiosna tego roku późno się zaczęła.

Gdyby się nasi pasiecznicy ogółem więcej zajmowali nauką o życiu i przyrodzie pszczół, badali ich potrzeby i zwyczaje, uniknęliby zawodu i szkody.

Czemuż to pszczoła żyjąca dziko w dziuplach drzew w lesie, przetrwa niezawodnie najgorsze lata i najsroższe zimy, i to tylko dzięki własnej zaradności i gospodarce przewidującej. Ma nagromadzone zapasy dla najsilniejszego roju i potomstwa, przednowku się nie obawia, i doczeka lata, choćby po

najdłuższej zimie, podczas, kiedy żyjące w ulach pszczoły, pod opieką rozumnego człowieka, muszą marnie ginąć z powodu jego nierozumnej gospodarki.

Tak, jak sama teorya w gospodarce nie wystarcza, tak też i sama praktyka bez teoryi kuleje; — dlatego uczcie się pasiecznicy, badajcie życie pszczół i wedle tego hodujcie wasze pszczoły. *A. S.*

Św. Klemens Marya Hofbauer.

W ostatnich dniach ubiegłego miesiąca został uroczyście zaliczonym w poczet świętych Klemens Marya Hofbauer, którego słusznie nazywają „apostołami Warszawy“ i którego z Polską wiązało zawsze wiele nici. Pochodził z rodziny Dworzaków, a urodził się w gminie Tasowicach, blisko Znojmu, na Morawach 26 grudnia 1751 r. Wcześnie stracił ojca; w ręku bogobojnej matki pozostało jego wychowanie. Zabiegi matki wydały bujne owoce. Już wcześnie wzbudził Bóg w jego sercu powołanie do duchowego stanu; nie mając jednak środków, aby się kształcić, został zrazu pomocnikiem piekarskim w pobliskim Znojmie, poczem w klasztorze OO. Norbertanów w sąsiednim Brück. Obok zajęć piekarskich oddawał się w czasie wolnym nauce, którą następnie uzupełnił w Wiedniu. W 27 roku życia jest jeszcze rzemieślnikiem w znanej piekarni „pod żelazną gruszką“ w Wiedniu, skąd dwukrotnie pielgrzymował do Rzymu i gdzie poznał świątobliwego biskupa Chiaramonti, późniejszego papieża Piusa VII. Powrócił jeszcze do Wiednia, ale nauka w tamtejszej wszechnicy, przesiąkniętej heretyzmem, nie odpowiadała skłonnościom jego serca. Wręcz i otwarcie wystąpił wobec profesora i kolegów w obronie wiary i ze słowami na ustach: „Panie profesorze, to, co pan profesor nauczasz, nie zgadza się z nauką katolicką“, opuścił gmach szkolny, a wkrótce potem Wiedeń.

Pieszo, jak zwykle, podążył do Rzymu. Zamieszkał w bliskości bazyliki Maria Maggiore. Rano pierwsze kroki skierował do kościółka św. Juliana, należącego do Zgromadzenia OO. Redomptorystów. Pobożność i skupienie zakonników zrobiły na nim wrażenie. Niezwłocznie udał się do przełożonego klasztoru i został przyjęty do zakonu. W roku 1785 złożył uroczyste śluby, prosząc odrazu przełożonych, aby mu wolno było przenieść działalność poza Alpy, w strony północne. Nie wzbraniali przełożeni, widząc żarliwość iście apostolską i wypróbowaną cnotę młodego kapłana. W porozumieniu z propagandą rzymską obrał za miejsce pracy Stralsund, na szwedzkim wówczas Pomorzu. W drodze wstąpił do Warszawy, aby przedstawić się nuncyuszowi przy dworze polskim, jako przełożonemu misyj północnych. Ten przyjął go łaskawie i polecił mu na razie pozostać w Warszawie.

Prowizorowie bractwa św. Bennona postanowili tymczasem Klemensa, wraz z towarzyszącym mu kapłanem oraz braciszkiem zakonnym, pozostawić w Warszawie na stałe i powierzyć mu opiekę nad swoim kościołem, gdzie dotąd przeważnie cudzoziemcy zaspakajali duchowne swoje potrzeby. Znalazła ta myśl oddźwięk w pałacu prymasa Rzeczypospolitej, jak również w ordynaryacie biskupim. Przyklasnął jej rząd polski z królem Stanisławem Augustem na czele. Nadeszło pozwolenie generała zakonu, a Klemens z towarzyszami przystąpił do dzieła. Przez lat dwadzieścia jak w kalejdoskopie zmieniały się godła państwowe i to Rosyanie, to Prusacy lub Francuzi deptali orły polskie — tu w świątyni św. Bennona, na wzgórku przy Wiśle, trwała zbawienna misya. W każdym dniu gorzały światła w odnowionym przybytku pańskim; w każdym dniu zwiększające się grono kapłanów Redemptorystów głosiło kazania, gromadząc coraz większą liczbę wiernych.

Gdy Suworow postąpił ku miastu, św. Klemens ślubem pielgrzymki się wiąże, jeżeli ono ocaleje. Po rzezi Pragi przygarnął do siebie sieroty, zbierając dla nich jałmużnę. Kiedy w jednej kawiarni, gdzie grą się bawiono, prosił o jałmużnę, jeden z obecnych plunął mu w twarz mówiąc: „Masz!“ Św. Klemens cierpliwie przyjął poniżenie i odpowiedział łagodnie: „To było dla mnie, a teraz proszę co ofiarować dla moich sierot“. Pokora kapłana pozyskała obfitą jałmużnę dla biednych. Młodzież kształcił w założonej przez siebie szkole. Rozrósł się też zakon, objąwszy domy w Mitawie kurlandzkiej, w Lutkówce i Radzyminie, w pobliżu Warszawy. Równocześnie brał św. Klemens żywy udział w rozbudzeniu życia duchownego polskiej stolicy.

Pracował ciągle, lecz cierpiał wiele, zwłaszcza od rządu pruskiego, gdy ten w roku 1797 zajął Warszawę. Cierpiał, bo nie chciał zezwolić, aby w szkole jego sprawowali ludzie niegodni obowiązki komisarzy; nie chciał zaprzeć się, ze jest Słowianinem i chętnie pracuje dla Polski, mimo że nosił niemieckie nazwisko. Gdy w pracy nad rozszerzeniem zakonu przebiegał Kraków, został uwięziony i zamknięty w murach klasztoru dominikańskiego. Gdy Francuzi w roku 1806 objęli Warszawę, a wolnomularze doszli do rządów, pośmiewiskom i napaściom na ulicach miasta nie było końca. Postanowiono za wszelką cenę usunąć zakonników. Użyto fortelu, by nie rozgoryczyć zbytnio przywiązanych do klasztoru Warszawiaków.

Dwaj przebrani wojskowi, po resurekcyi w wielką sobotę 16 kwietnia 1808, zaczęli rozpychać w kościele i lekceważyć publiczność. Usunięto ich z kościoła, lecz zajście to dało już rządowi podstawę do represyj. Daremne były zabiegi napoleońskiego marszałka Davousta; sam król saski a książę warszawski Fryderyk August nie zdołał, mimo życzliwości dla zakonu, uzyskać pomyślnych wyników wobec uporu centralnego rządu napoleońskiego. Opieczętowano klasztor, i 36 członków zgromadzenia wysłano na wygnanie. Zajechały wozy, po pięciu zakonników wsadzono na każdy i pod osłoną straży odwieziono do granicy państwa, do Kistrzynia, fortecy przy ujściu Warty do Odry. Pobyt w Kistrzyniu nie trwał długo; zakonnicy ujęli sobie serca miejscowej ludności, a pastorowie miejscowi, obawiając się powrotu własnej owczarni na łono Kościoła św., postarali się o usunięcie członków zakonu.

Św. Klemens udał się do Wiednia, mając już lat 57 i tu uzyskał wreszcie posadę kapelana przy kościele włoskim. Mieszkał tam lat cztery, poczem za zgodą miejscowego arcybiskupa hr. Hohenwartha objął stanowisko spowiednika oraz rządcy ko-

ścioła Sióstr Urszulanek. Tu mieszkał do śmierci i pracował, jak zwykle z zapałem. Słuchając spowiedzi, głosząc słowo Boże, kierując sumieniami książąt i biedaków, ogarnął przedewszystkiem sercem dorastającą młodzież i gromadził ją około siebie. Krzepił też ducha rozprószonych braci zakonnych, utwierdzał powstające za granicą domy klasztorne, był pomocny nuncyaturze apostolskiej przy dworze wiedeńskim. Nie doczekał się już zatwierdzenia swego zakonu przez rząd austryacki, ale zostawił wszystko na najlepszej drodze. Chorował od dawna na reumatyczne bóle i cierpienia gardła, wiek sam zresztą podeszły dokuczał mu coraz bardziej. Otoczony gronem przyjaciół i uczniów gasł w oczach. Powtarzał rzewnie w cierpieniu: „Co Bóg chce, jak Bóg chce i kiedy chce — to niech się stanie". Zmarł spokojnie 15 marca 1820. Ostatnie słowa jego były: „Odmówcie Anioł Pański" — poczem odwrócił się i skonał.

W wielkim orszaku uczniów i profesorów, księży, książąt i hrabiów, wraz z ludem wszelkiego stanu, złożono śmiertelne szczątki w katedralnym kościele św. Szczepana, poczem przeniesiono je do prywatnego grobowca w Entzensdorf pod Wiedniem. Nie leżał jednak tam długo. Już za życia jaśniał blaskiem świętości. Blask tej świętości wzrastał z dniem każdym po śmierci, mnożyła się liczba cudów. Wszystkie stany, z cesarzem Ferdynandem i Franciszkiem Józefem na czele, słały prośby do Rzymu, aby Klemensa uznać za świętego. Prosili arcyksiążęta, kardynałowie, biskupi i generałowie zakonów; prosili książęta i magnaci świeccy. Prosiła Polska z biskupem Poznania na czele; księstwo Czartoryscy, hrabstwo Platerowie, Mycielscy, Żółtowscy i inni zwracali się do Rzymu, prosząc, „żeby był przedstawiony wiernym w Polsce, tak wiele mu zawdzięczającym, jako wzór cnót chrześciańskich".

Cuda przysięgą stwierdzone, skłoniły Stolicę apostolską do wstępnych kroków beatyfikacyi. W dniu 29 stycznia 1888 r. ogłoszono uroczyste jej orzeczenie. Dziś, po dwudziestu latach od tej chwili odbywa się uroczysta kanonizacya. Z Polską łączyły świętego zawsze gorące wspomnienia. Będąc w Wiedniu mawiał nieraz: „Dajcie mi proste pieśni polskie, one są daleko piękniejsze od tutejszych śpiewów". Tęsknił za Polską, żył z nami w ciągłej styczności, a nawet zagranicą „wolał pracować dla Polaków i słuchać ich spowiedzi", a ostatnią Mszę św. za duszę Polki ks. Tekli Jabłonowskiej odprawił. Relikwie św. Klemensa znalazły pomieszczenie w wspaniałym kościele XX. Redemptorystów wiedeńskich Maria Stiegen. U nas, chociaż uległy zniszczeniu drewniane domki klasztorne w Warszawie, gdzie mieszkał, a sam kościół przy ulicy Pieszej, dziś w dom mieszkalny zamieniony, duch wszakże jego żywy jest wśród nas.

X. Tadeusz Marekowski.

Jednajcie nowych czytelników,
By rosła siła wśród rolników!

Z doświadczeń rolniczych.

Gdzie nauka radzi
A praca gromadzi,
Oszczędność zachowa
A cnota jest zdrowa,
Tam też miły bracie
Pomyślność jest w chacie.

Robactwo dręczące zwierzęta domowe.

Gzy i bąki kłują w jesieni bydlę w skórę i tam składają jajka, z tego się wylęgają robaki pod skórą, gdy one się pokażą wiosną, można je wycisnąć. W razie potrzeby rozszerza się otwór nożem i wyciska. Polecają różne sposoby odstraszania robactwa, jak n. p. smarowanie skóry bydlęcia pasącego się odwarem z liści orzecha włoskiego, skrapianie skóry rozczynem kwasu karbolowego i t. p., lecz w praktyce tych środków nie zastosowano, gdyż użycie ich jest zbyt mozolne, a skutek niepewny.

Robaki płucne, trzewne i wątrobne, niszczą bydło dość często. Znane są różne środki leczenia chorych zwierząt: dziegieć, smoła, terpentyna, olejek zwierzęcy, korzeń tataraku i inne. Motylice w wątrobie się znajdujące trudno wygubić, potrzeba krowę żywić posilnie, dawać wewnątrz gorzkie środki, a najlepiej zamotylizowanej krowy wcześnie pozbyć się na rzeź. Włosienice w płucach męczą czasem całą gromadę cieląt i jagniąt, które się zatruły, gdy były pasane na wilgotnych pastwiskach w końcu lata i jesieni; cielę kaszle często i kurczowo, czasem wykaszle z szluzem pęczek nitkowatych robaków. Takie cielęta trzeba żywić nadzwyczaj posilnie i gdy już są mocne, można je umieścić w ciasnej, szczelnie zamkniętej komórce, lub odpowiedniej wielości szczelnej skrzyni, tam pomieściwszy zamotyliczone cielęta lub jagnięta, spalić pewną ilość smoły drzewnej, do ognia rzucić cokolwiek wiórów z rogu lub parę kawałków starej skóry, cielę zamknąć w dymie, lecz dozorować, aby zbyt silny dym nie zadusił cielęcia. Cielęta lub jagnięta do oddychania dymem zmuszone, będą się krztusić, a część robaków wykaszlą i poddane takiej kuracyi zwierzątka, wytrzymują ją, jeżeli były mocnemi; po kilku dniach, gdy cielę odpocznie, a jeszcze kaszle, można je znowu zmusić do wdychania dymu, a o ile zwierzątka wytrzymają, można sposób ten stosować na tych sztukach, które jeszcze kaszlą, aż do ich wyzdrowienia.

Tych wszystkich kłopotów, jakie są udziałem gospodarza, gdy cielęta lub krowy zatrute chorują zimą na włosienice lub motylice, wogóle na pasożytne robactwo trzewne — uniknie gospodarz, jeśli zwierzęta, o których mowa, żywić będzie latem i w jesieni ostrożnie, bo już od sierpnia składają motyle, ćmy i inne owady jajka na zroszonej trawie od wieczora do ranka. Gdy gospodarz wypuści swe bydło na czczo na zroszoną paszę — zjada ono wraz z trawą owe jajka, z których niektóre wylęgają się w trzewiach, potem się przeobrażają i w ściany błon trzewnych się wgryzają, lub też dostają się do wątroby i płuc, co zawsze chorobę, a często śmierć bydlęcia za sobą pociąga.

Przezorny gospodarz zapobieży już naprzód zatruciu bydła szczególnie młodego, jeżeli wcześnie rano odpasie zwierzęta w stajni, a dopiero po obeschnięciu rosy, gdy wiatr jajka z trawy postrząsał, wypuści bydło, czy owce na pastwisko. Taki dodatek rannej przekąski jest koniecznym i z tego względu,

że bydlę głodne, wypuszczone na paszę, zjada z łakomstwem, co napotka, więc zjada zarazem rośliny trujące, których, instynktem wiedzione, nie ruszyłoby, gdyby go głód nie zmuszał do szybkiego pożywienia się. Przekąski takie dawać można krowom rano w postaci siana, lub dobrej słomy, młodzieży zaś będzie dodatek owsa po sianie wskazanym. Jeżeli pastwisko nie jest dość pożywnem, można również w południe zadać w stajni trząskę z zielonej paszy ze słomą. Wieczorem zaś potrzeba dać sposobność zwierzęciu wypełnienia żołądków wedle potrzeby, zadając na noc odpowiednią zakładkę z dobrej słomy. Dla krów dających dużo mleka, będzie dodatek z otrąb stosownym.

KRONIKA.

Nasze ryciny. We Wiedniu zderzyły się w tych dniach dwa wagony kolejki elektrycznej. Siła zderzenia była tak wielka, że około 17 osób z jadących w wagonach odniosło cięższe lub lżejsze rany. W jednym

Zderzenie tramwajów.



17 rannych. (Patrz: „Nasze ryciny“).

z wagonów jechało 24 uczniów szkoły rolniczej, którzy przybyli do Wiednia zwiedzić to miasto. Byli to przeważnie synowie włościan. Prawie wszyscy z nich są ranni. Chwilę zderzenia przedstawia nasza rycina.

W Chinach złożono niedawno uroczyście do grobu zwłoki cesarza Kwangsu. Był to pierwszy władca, który rozpoczął wprowadzać w chińskiem państwie reformy. Pogrzeb odbył się z niesłychanym przepychem i kosztował przeszło ośm milionów koron. Olbrzymi katafalk ze zwłokami, okryty cały żółtym jedwabiem, nieśli liczni tragarze, za trumną szli wszyscy najwyżsi dostojnicy państwa, oraz dyplomaci cudzoziemscy. Po drodze wszędzie przyłączały się tłumy do pochodu, bo chińczycy kochają się w podobnych wystawnych obchodach.

Jubileusz zasłużonego człowieka. W ostatnich dniach obchodził Uniwersytet Jagielloński w Krakowie, a z nim i cała Polska rzadką uroczystość. Profesor tego Uniwersytetu i prezes Akademii Umiejętności, najwyższego ciała naukowego w Polsce, hr. Stanisław Tarnowski, ustępował z Uniwersytetu po czterdziestoletniej w nim pracy. Na cześć zasłużonego profesora odbyły się liczne zebrania, na których wygłoszono piękne mowy na jego cześć.

Wycieczka rolnicza. Galicyjskie Towarzystwo mleczarskie zamierza urządzić zbiorową wycieczkę do Kromieryża na Morawy, w dniach 20, 21 i 22 czerwca br. Celem wycieczki będzie zwiedzenie tamtejszej szkoły mleczarskiej, szkoły rolniczej, akcyjnej cukrowni i młyna parowego, dalej zwiedzenie dóbr arcybiskupich i kilkunastu mleczarń oraz takich miejscowości ziemi hanackiej, w których są postępowo prowadzone gospodarstwa włościańskie.

Zamordowana przez męża. W ubiegłym tygodniu rozegrała się we wsi Olszowicach koło Świątnik górnych pod Podgórzem straszna tragedya rodzinna. Ofiarą padła młoda kobieta Anna Kaimowa, licząca 36 lat życia. Zginęła ona gwałtowną śmiercią z rąk własnego męża, jego matki oraz bratowej. Już od dłuższego czasu panowały w rodzinie Kaimów niesnaski, które z czasem przybrały nader ostry charakter. Główną ością niezgody w rodzinie było gwałtowne usposobienie teściowej i jej córki Wiktoryi, które żonę swego syna i brata nienawidziły. Mąż zamordowanej stanął wkońcu po stronie swej matki i siostry i postanowiono Annę z domu usunąć. Sposobność nadarzyła się dnia 20 maja wieczór. Wybuchła sprzeczka między synową a matką, do czego przyłączyli się i mąż i jego siostra, a gwałtowna wymiana słów zamieniła się w krwawą bójkę. Matka, syn i córka rzucili się na synową i poczęli ją bez miłosierdzia bić, czem kto miał w ręku. Napadnięta wkrótce uległa przemocy i bez przytomności legła na ziemię. Wówczas rodzina postanowiła ostatecznie pozbyć się jej z domu. Matka wspólnie z synem i córką wynieśli nieszczęśliwą na strych i tu powiesili, zdaje się, jeszcze żywą na belce. Miało to zarazem na celu upozorowanie samobójstwa.

Na drugi dzień matka wyprawiła syna i córkę do sąsiedniej wsi Świątnik do kościoła, a gdy byli już daleko od miejsca zbrodni, zaczęła wrzeszczeć, że się synowa powiesiła. Sąsiedzi pospieszyli na strych i tu przedstawił się im straszny obraz. Zwłoki, zsiniałe od razów i uderzeń, z wyrazem okropnych bólów ostatnich chwil na twarzy, wymownie świadczyły o tragicznej śmierci zmarłej. Matka, widząc okropne wrażenie, porwała czemprędzej za siekierę i zwłoki odcięła. Te, spadając, zawaliły powałę i wpadły do izby. Na wieść o tem, przybył na miejsce zbrodni wachmistrz żandarmeryi, celem przeprowadzenia dochodzeń. Na pierwszy rzut oka, na widok zwłok zamordowanej nabrał on wątpliwości co do samobójstwa, a po energicznem badaniu nabrał przekonania, iż zmarła zginęła gwałtowną śmiercią. Podejrzenia powszechne obciążały rodzinę, to też wachmistrz natychmiast matkę i syna zaaresztował i odstawił do sądu w Podgórzu. Zaskoczona aresztowaniem rodzina nie mogła zaprzeć się dokonanej zbrodni i matka przyznała się do czynu.

Po przeprowadzeniu śledztwa, cała trójka, wikłająca się co raz to inaczej w zeznaniach, odstawioną będzie do sądu karnego w Krakowie. Mord wywarł w całej okolicy wielkie wrażenie.

Świętokradztwo. W Rzeszowie w nocy z 18 na 10 b. m. do kościoła OO. Bernardynów dostali się złodzieje i skradli dwa srebrne kandelabry, 5 złotych

pucharów, a nadto z kilkunastu puszek składki. Wszystkie skradzione rzeczy wrzucili złodzieje do pobliskiego stawu, gdzie je przypadkowo odnaleziono, z wyjątkiem gotówki, którą złodzieje unieśli.

Pod kołami wozu. Niedawno wydarzył się na rynku w Stryju śmiertelny wypadek. Spłoszyły się konie jakiegoś włościanina i w szalonym pędzie poczęły gonić ulicą. Nieszczęście chciało, że szła w owej chwili środkiem ulicy kobieta z okolicznej wsi, która dostawszy się pod koła wozu, została formalnie zmiażdżona. Stratowana kopytami koni, gdy koła obładowanego wozu przejechały jej szyję, wyzionęła prawie natychmiast ducha.

Krwawy czyn pasierba. Dom Mojszy Rendelsteina w Podwołoczyskach był przed kilku dniami widownią krwawego zajścia. Powodem był syn pierwszej żony Mojszy R., 19-letni młodzieniec Dudio. Stary Rendelstein, żyd 63-letni, mimo wspólnego pożycia z żoną, sprowadzał sobie od kilku lat, pod pozorem wychowywania dzieci, rozmaite podejrzane kobiety. Sprzykrzyły się Mojszowi ciągłe lamenty gnębionej żony i postanowił, choćby najgwałtowniejszymi środkami pozbyć się jej. W tym celu sprowadził syna swego Dudia z Wiednia, który z polecenia ojca, 25 bm. w południe, rzuciwszy się na bezbronną matkę, pobił ją w barbarzyński sposób i odgrażał się zabiciem jej. Na rozpaczliwy krzyk nieszczęśliwej kobiety zbiegł się wielki tłum ludzi, który uwolnił ją z rąk rozbestwionego pasierba, którego wreszcie aresztowano.

Pojedynek posłów. Podczas posiedzenia komisyi budżetowej parlamentu austryackiego przyszło do gorszącego skandalu pomiędzy posłami Malikiem a Rollsbergiem. Malik nazwał Rollsberga renegatem, wobec czego Rollsberg wyzwał go na pojedynek. Obaj nic sobie nie zrobili, bo pistolet Malika nie chciał wystrzelić.

Zjazd hakaty na kresach. W Zielone Święta odbył się na kresach zachodnich w Bielsku-Białej zjazd hakatystycznego „Schulvereinu", przygotowywany od dłuższego czasu celem wzmocnienia — jak głosiły hakatystyczne pisma — zagrożonej tamże Niemczyzny. Na zjazd przybyło przeszło 700 delegatów, reprezentujących 545 grup z 66.000 członków. Zjazd zagaił znany hakatysta, pastor Schmied z Bielska, podnosząc, że z radością wita zjazd na ziemi galicyjskiej, który to zjazd ma podnieść na duchu i zagrzać do walki niemiecką ludność kresową. Obrady zjazdu toczyły się koło zakładania szkół niemieckich i szerzenia Niemczyzny na terytoryum pod względem językowym spornem. W zjeździe wzięło udział kilku posłów do Rady państwa i niemiecki minister-rodak Dr. Schreiner — który również na zjeździe przemawiał.

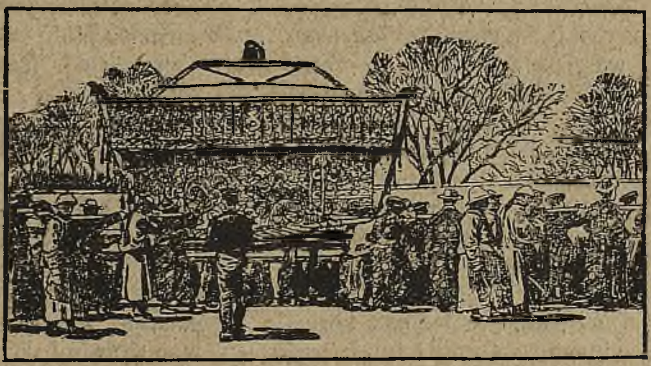
Wywłaszczono go z psa. Do pism niemieckich podają następne zdarzenie: Pod Żninem w W. Ks. Poznańskiem mieszka od lat 20-tu pewien gospodarz, ogólnie szanowany i piastujący różne urzędy honorowe. Pewnego dnia przybył do niego żandarm, oświadczając mu, że jednemu z kolonistów niemieckich zginął pies, a że u gospodarza jest podobny pies, więc niech wykaże, skąd go ma. Ów gospodarz wziął te wypytki za niewczesny żart, lecz niezadługo przybył żandarm z kolonistą na oględziny. Mimo przeczeń gospodarza zabrano mu psa na proste zapewnienie kolonisty, że to pewno ów pies, który mu zaginął. Psa trzeba było wlec na powrozie, bo nie chciał iść za swym rzekomym panem. Gospodarz podał skargę na żandarma, a kolonistę pozwał przed sąd o obrazę.

Chcieli wywrócić pociąg. Na torze kolejowym na Śląsku rozbili jacyś dotąd niewyśledzeni zbrodniarze zaporę mostu kolejowego i przytwierdzili ją silnie do szyn. Na szczęście zdołał kierownik pociągu osobowego spostrzedz grożące niebezpieczeństwo i zatrzymał pociąg jeszcze wczas.

Nowy sposób zwalczania pijaństwa. W Ameryce wynalazła policya nowy sposób na pijaków. Spotkawszy pijanego człowieka na ulicy, wiodą go na policyę, tam fotografują i kładą spać. Po wytrzeźwieniu pokazują mu fotografię, zawiadamiając jednocześnie, że okaz tej fotografii wywieszą na widok publiczny, jeżeli raz jeszcze spotkają go pijanego. Postępowanie takie ma podobno lepszy skutek, aniżeli dotychczasowe kary pieniężne. Czy ten sposób walki z alkoholizmem miałby powodzenie u nas, niewiadomo. Raczej trzeba wątpić.

Śniegi w maju. Pisma chicagowskie donoszą ze stanu Kolorado, że spadły tam tak olbrzymie śniegi, że pociągi nie mogą kursować, a z domów musiano się przekopywać przez zaspy śnieżne. Pociąg kolei utknął w śniegu niedaleko Corona i musiano go odkopywać, aby mógł wrócić nazad, gdyż naprzód iść nie było dlań podobieństwem. Tak olbrzymich śniegów nie pamiętają tu od lat. A nie trzeba zapominać, że śniegi te spadły

Z żółtego państwa.



Pogrzeb cesarza chińskiego. (Patrz: „Nasze ryciny").

w pierwszej połowie maja, kiedy i u nas i w Ameryce wiosna bywała zazwyczaj w pełnym rozkwicie.

Najstarsi ludzie w Anglii. O ludziach, którzy dożyli w Anglii najpóźniejszego wieku, podają pisma tamtejsze z okazyi śmierci pewnego człowieka w 120 roku życia następujące wiadomości: Rolnik angielski, Tomasz Parre doszedł do 152 lat życia, a posiadał syna, liczącego 126 lat. Mając lat 120 ożenił się z wdową, która twierdziła, iż nie uczuła wcale jego podeszłego wieku. — H. Jenkins w Yorkshire liczył w chwili śmierci 169 lat, a chirurg Politman mógł w pełni sił obchodzić swą 140 rocznicę urodzin. — Elżbieta Durieux, która doszła do 140 lat życia, żyła zupełnie niehygienicznie. Opowiadają, że wypijała dziennie po 40 filiżanek kawy. Elżbieta Walson, wysoka zaledwie 70 centymetrów, żyła 150 lat, a olbrzym Jakób Donald, wysoki $2^1/_2$ metra 120 lat.

Klub czerwonych nosów. Pewien woźnica i stróż polowy w Onger, w Anglii, którym natura czy też wódka nadała czerwony kolor nosów, postanowili założyć stowarzyszenie, aby uniknąć ciągłych dokuczań ze strony sąsiadów. Stowarzyszenie znajduje się naturalnie w szynku. Przyjętym być może tylko właściciel bardzo czerwonego nosa. Wielu korzysta z zaszczytu należenia do tego szczególnego stowarzyszenia, które

liczy już kilkuset członków, a corocznie urządza kilka zabaw, z których czysty dochód obracany jest na szpital miejscowy. Tem niewątpliwie amerykańscy pijacy różnią się od naszych, którym cel dobry ani nie postanie w głowie.

„Wysoko" urodzony. Żeglarz balonem z Barcelony, Alfons Marca, przedsięwziął w tych dniach w towarzystwie swej żony podróż balonem do Francyi. Podczas jazdy, żona aeronauty, będąc przy nadziei, urodziła przedwcześnie chłopca, który – jeżeli tylko się wychowa — będzie mógł bezwątpienia powiedzieć, iż jest wysoko urodzony. Matka i dziecko są dotychczas zupełnie zdrowe.

Studenci ruscy rabusiami.

W Kołomyi toczyła się przed sądem pryysięgłych rozprawa o kilka kradzieży i szereg napadów rabunkowych, dokonanych przez uczniów prywatnego seminaryum nauczycielskiego i gimnazyum w Kołomyi.

Głównymi oskarżonymi byli Kiryło Bukojemski prywatny student gimnazyalny, Włodzimierz Homik, uczeń pryw. seminaryum naucz., Stefan Wełyczko, uczeń pryw. sem. naucz., Paweł Drozdowski, uczeń 6 klasy gimn. ruskiego w Kołomyi.

Akt oskarżenia przedstawiał sprawę jak następuje: Dnia 15 grudnia około godz. 2 w nocy obwinieni Kiryło Bukojemski, Włodzierz Homik i Stefan Wełyczko, weszli przez okno do zamkniętego mieszkania Józefa Smereczyńskiego w Okrzesińcach i skradli tam 2 poduszki, 3 kołdry, futro i wiele innych rzeczy, a nadto, poszukując trunków, rozbili piwnicę. Bukojemski i Homik przyznali się do kradzieży, a poszkodowana Smereczyńska twierdziła, że złodziei było trzech i jako na trzeciego wskazała na Stefana Wełyczkę, którego osobiście znała.

W nocy 11 lutego 1009, Kiryło Bukojemski i Włodzimierz Homik, ubrani w kominiarki, z przyprawionymi wąsami i brodą, uzbrojeni w rewolwery, karabin i sztylet, korzystając z tego, iż Bożena Filipowiczowa z córką i swym sąsiadem Onufrym Hujwanem wydaliła się z domu, weszli przez okno do zamkniętego ich mieszkania i skradli ruchomości łącznej wartości 1619 K 20 hal. zaś u Onufrego Hujwana ruchomości łącznej wartości 174 K 40 hal. W czasie, gdy Bukojemski i Homik wyrzucali rzeczy z mieszkania Filipowiczowej, zbudzili się śpiący w tym pokoju chłopcy Aleksander Filipowicz i Iwan Rybaruk. Gdy Rybaruk chciał uciekać, Bukojemski powalił go na ziemię, a przyłożywszy mu sztylet do piersi, zagroził mu, że go zabije, jeśli będzie krzyczał lub uciekał.

W nocy z 1 na 2 marca b. r. Kiryło Bukojemski, Włodzimierz Homik i Stefan Wełyczko, dokonali kradzieży w domu Nuchima Schnepfa, kantyniarza w Kołomyi i skradli tam około 200 kor. gotówką, 4 litrową flaszkę rumu, wędliny, rozmaite ubrania, 2 zegarki, łańcuszek i t. d.

W nocy z 6 na 7 marca br. Kiryło Bukojemski Włodzimierz Homik i Stefan Wełyczko wtargnęli przez okno werandy do mieszkania parocha Semena Pawluka w Piadykach i zabrali srebro z kredensu oraz futro, razem wartości przeszło 600 kor. Gdy księdzowa obudziła się, Bukojemski wymachując nad nią toporem, nakazał jej milczenie, grożąc śmiercią, a równocześnie przeszukiwał ubranie śpiącego X. Pawluka. Gdy ks. Pawluk się zbudził, obwinieni na jego pytanie, kto są, odpowiedzieli, że są rewolucyonistami, że żądają pieniędzy, przyczem Homik począł szukać ręką w łóżku X. Pawluka, a gdy ten uchwycił go za rękę, Homik przykładając mu do piersi rewolwer, zawołał: „pusty ruku, dawaj hroszi, bo zhynesz". Wtedy przystąpił do łóżka X. Pawluka także Bukojemski, a podczas tego, gdy Homik szukał pieniędzy, on wymachując toporem nad X. Pawlukiem mówił: „dawaj hroszi, bo zhynesz, Rosja sia bude hniwała". Odchodząc zagrozili księdzostwu, aby byli cicho, bo postawili straż, a gdyby ich kto ścigał, to ksiądz i księdzowa zginą. Rzeczy pochodzące z tej kradzieży przechowywał u siebie najpierw Wełyczko, później zaś dał je do przechowania Pawłowi Drozdowskiemu.

W nocy z 7 na 8 marca K. Bukojemski W. Homik i Wełyczko zamaskowani weszli przez okno do mieszkania X. Aleksandra Rusina w Korniczu, wtargnęli do pokoju sypialnego, a gdy X. Rusin się zbudził, Homik uchwycił go ręką pod szyję, a drugą trzymając nad nim wzniesioną, żądał wydania pieniędzy i rewolweru i wyciągnął ze spodni, leżących koło łóżka pugilares z kwotą 100 koron w 10-koronowych monetach złotych, oraz drobnymi kwotę 10—20 kor. Gdy Rusinowa pomimo, że Bukojemski chwycił ją za włosy i groził toporem, wybiegła z pokoju do kuchni i pobudziła służbę, sprawcy rabunku uciekli, pozostawiając w ogrodzie przygotowane do zabrania dwa tłumoki. Część rzeczy, skradzionych u X. Rusina, znaleziono u Drozdowskiego. Część pieniędzy przetrwonili obwinieni, część posiada jeszcze Homik, który — jako widocznie rutynowany w zawodzie rabusia i złodzieja osobnik — pieniądze te przechowuje w swym żołądku, połykając je.

Rozprawa budziła w mieście wielkie zainteresowanie. Wszyscy oskarżeni byli Rusinami i należeli do rodzin zamożnych. Do zbrodni nie popchnęła ich nędza, lecz chęć użycia za wszelką cenę. Podczas napadów używali prawie zawsze języka polskiego, aby wywołać wrażenie, że to Polacy są tą szajką bandytów.

Obwinionych odkrył tylko przypadek. Drozdowski mieszkał u stroiciela fortepianów, niejakiego Kuczabińskiego. Kuczabiński zajrzał raz do kuferka Drozdowskiego i przez szparę zobaczył w nim srebro. Zawiadomił o tem policyę, która kuferek otworzyła i znalazła w nim oprócz skradzionych w ostatnich czasach u rozmaitych osób rzeczy, także kompromitującą korespondencyę. W ten sposób wyłapano całą bandę. Nikt nie przypuszczał, że rabusie, napełniający postrachem całą okolicę Kołomyi, siedzą na ławach szkolnych w gimnazyum i seminaryum nauczycielskiem.

Proces trwał przez trzy dni. Oskarżeni Homik, Bukojewski i Wełyczko odpowiadali cynicznie na stawiane im pytania i wcale nie zapierali się popełnionych zbrodni. Rzucali tylko winę jeden na drugiego; każdy mówił, że to tamten drugi namawiał go do złych uczynków. Sąd nie dał się w błąd wprowadzić i po przesłuchaniu wielu świadków, wydał wyrok, skazujący Homika na 8 lat ciężkiego więzienia, Bukojemskiego na 4 lata, a Wełyczkę na 14 miesięcy. Uwolniono tylko Drozdowskiego, który — jak wykazała rozprawa — był istotnie tylko ofiarą, wciągniętą przez studentów-bandytów do ich szajki.

„Rola" powinna znaleść się w każdym domu rolnika! Rozszerzajmy „Rolę"!

CONAN DOYLE.

Czarny Piotr.

1

Nie widziałem nigdy Sherlocka Holmesa w takiej pełni sił umysłowych i fizycznych, w takim rozkwicie, jak gdy przypatrywałem mu się w r. 1895. Sława jego wzrastała z dnia na dzień, a za nią szła olbrzymia, ciągle rosnąca praktyka.

Naraziłbym się na słuszny zarzut niedyskrecyi, gdybym wymienił, lub choćby tylko pozwolił się domyślać nazwisk klientów, którzy przestępowali skromne progi naszego mieszkanka przy Baker Street. Mimo tego powodzenia, Holmes żył jak każdy wielki artysta, wyłącznie dla swej sztuki. W dwóch tylko wypadkach, o ile wiem, można było mówić o wynagrodzeniu. Jednym z nich było trudne poszukiwanie za synem księcia Holdernesse. Cena nie stała zresztą nigdy w stosunku do nieopłacanych usług, które Holmes oddawał swoją wiedzą i sprytem.

Zresztą, nawet w przyjmowaniu propozycyi kierowała Holmesem artystyczna wybredność. — Nieraz odmawiał pomocy ludziom możnym i bogatym, jeżeli kwestya, o którą szło, nie wydawała mu się interesującą, a przypadek sam w sobie mógł być rozwiązany przez zwykłego ajenta policyi. Nieraz znowu tygodnie całe poświęcał bezinteresownie sprawom ludzi biednych, jeżeli trafił na godne siebie i prawdziwie ciekawe zadanie, i jeżeli dramatyczne okoliczności sprawy apelowały do jego czynnej wyobraźni i wyzywały bystrość.

W pamiętnym tym roku 1895 różne ciekawe historye zajmowały bezustannie barwnym kalejdoskopem życie i pracę Sherlocka, począwszy od słynnego śledztwa z powodu nagłej śmierci kardynała Tosca, aż do aresztowania Wilsona, hodowcy kanarków, aresztowania, które oczyściło dzielnicę East-end w Londynie od hańbiącej plamy. Po dwóch tych słynnych wypadkach nastąpiła zaraz tragedya z Woodmans Lee, bardzo zawikłana historya tycząca się śmierci kapitana Piotra Careya, oraz towarzyszących jego zgonowi bardzo dziwnych okoliczności. To, co opowiadałem dotychczas o Holmesie, nie byłoby wiernym obrazem jego działalności, gdybym pominął ten wysoce ciekawy i charakterystyczny epizod.

W pierwszych dniach lipca, Holmes tak mało bywał w domu, że wiedziałem zaraz, iż ma jakąś sprawę napiętą. Od czasu do czasu pojawiali się też w naszem mieszkaniu jacyś obdarci ludzie, zapytując za każdym razem o kapitana Bazila. To znów świadczyło, że Holmes działa w przebraniu jak to często czynił, aby ukryć swą dobrze znaną i nieraz budzącą postrach powierzchowność. W różnych stronach Londynu miał on najmniej pięć małych pokoików, gdzie mógł się spokojnie zamieniać w innego człowieka. Nie mówił mi nic zresztą co czyni, a ja znów nie miałem żadnej przyczyny domagać się wyjaśnień przed czasem, wiedząc, że gdy nadejdzie pora, sam mi ich udzieli.

Tym razem jednak w szczególny sposób dał mi pierwszą wskazówkę co do kierunku, w jakim obecnie działa. Pewnego dnia wyszedł wcześnie, jeszcze przed śniadaniem, a wrócił właśnie w chwili gdy ja, ubrawszy się, zasiadłem do stołu. — Wszedł do pokoju w kapeluszu na głowie, trzymając pod pachą, nakształt parasola, potężny kij z ościeniem na końcu.

— Na miłość boską — zawołałem — przecież nie chodziłeś chyba po mieście z tym instrumentem pod pachą?

— Byłem u rzeźnika i teraz wracam.

— U rzeźnika?

— Jeździłem tam.

— O tej porze?

— Tak jest i mam doskonały apetyt. Nie ma kwestyi, mój drogi, że ruch przed śniadaniem wybornie działa na apetyt, zwłaszcza zaś ćwiczenia fizyczne. Założę się jednak, że nie zgadniesz jakiego rodzaju jest gimnastyka, którą właśnie uprawiam.

— Nawet nie próbuję odgadnąć, bo wiem, że próżne wysiłki.

Holmes śmiał się po cichu, patrząc równocześnie, jak nalewam kawę do filiżanki.

— Gdybyś był mógł zajrzeć do magazynu, który przytyka do sklepu Allardyce'a, zobaczyłbyś tam ciekawe widowisko: na haku wisi od powały wielka świnia, zarżnięta lege artis, a przed nią człowiek, który źga ją tym interesem z wściekłością i zapałem. Energicznym tym osobnikiem byłem ja sam i udało mi się przekonać, że choćbym wytężył wszystkie siły, to jeszcze nie mogę całej świni przebić na wylot od jednego zamachu. A możebyś ty spróbował?

— Dziękuję. Ale dlaczego urządziłeś takie próby?

— Bo zdawało mi się, że rzecz ta ma pewien związek z tragedyą w Woodmans Lee.

Ktoś zapukał i drzwi się utworzyły.

— Witam pana, panie Hopkins. Otrzymałem depeszę pańską tej nocy i czekałem na pana. Chodźże pan i siądź z nami tutaj do stołu.

Człowiek, który wchodził właśnie, był młody, lat może trzydziestu. Na sobie miał lekkie ubranie letnie, lecz trzymał się prosto i z pewną sztywnością, która wskazywała raczej na przyzwyczajenie do chodzenia w mundurze. Poznałem zaraz że widziałem już tę twarz. Był to Stanley Hopkins, młody ajent policyjny, o którego zdolnościach Holmes miał wielkie wyobrażenie. Stanley odpłacał mu za to podziwem i szacunkiem takim, jak może mieć chyba uczeń dla znakomitego nauczyciela.

Zaraz można było spostrzedz, że Hopkins jest nie w humorze. Usiadł przy stole z miną bardzo niezadowoloną.

— Może pan co przekąsi?

— Dziękuję. Zjadłem już śniadanie. Noc spędziłem w mieście, bo przybyłem wczoraj, aby zdać raport.

— A o czem pan donosił?

— O tem, że mi się nie powiodło. Zupełnie nie powiodło, tym razem.

— Więc najmniejszego postępu?

— Żadnego. Ani na jotę.

— O, do licha! Chciałbym rzucić okiem na tę kwestyę.

— Dałby Bóg, aby tak się stało. To pierwsza sprawa, w której mogę się odznaczyć, a niestety znalazłem się u kresu mej mądrości bardzo szybko. Gdyby pan był tak łaskaw podać mi rękę...

— Ależ dobrze, dobrze. Jak to doskonale się składa, że czytałem już wszystkie doniesienia o całej kwestyi, aż do protokołu obdukcyi zwłok. Czy-

tałem nawet dość uważnie. Ale, ale, cóż pan myśli począć z tym kapciuchem, które znaleziono na miejscu zbrodni? Podobno to pan sam go znalazłeś?

Hopkins spojrzał na Sherlocka nie bez zdziwienia i odpowiedział:

— To był jego własny kapciuch, z jego monogramem na wierzchu. Przytem zrobiony był ze skóry psa morskiego, a on sam był marynarzem i polował nn psy morskie.

— Ale fajki nie miał przy sobie.

— Tak jest, nie miał, lecz podobno palił bardzo mało, a tytoń mógł nosić raczej dla przyjaciół aniżeli dla własnego użytku..

— Bezwątpienia. Wspominam tylko o tym szczególe, bo gdybym to ja prowadził dochodzenia, użyłbym go za punkt wyjścia. Ale tak, czy tak, mój przyjaciel Dr. Watson, nic nie zna z tej całej historyi, a nie zaszkodziłoby także i mnie, gdybym posłuchał jej raz jeszcze. Przyda się takie krótkie zebranie wypadków. Niech je pan nam naszkicuje.

Hopkins wyciągnął z kieszeni skrawek papieru.

— Mam tu parę dat, które razem tworzą zarys karyery życiowej Piotra Careya, kapitana okrętowego, zabitego przez nieznanych sprawców, czy sprawcę. Urodził się on w r. 1845, miał zatem lat 50. Był to człowiek bardzo śmiały, wyborny kierownik wszelkich połowów, na wieloryby i foki. W r. 1883 komenderował statkiem „Narwal“ z Dundee. Potem zaraz udało mu się zrobić kilka świetnych połowów i już w następnym roku mógł się usunąć od interesu. Podróżował wiele, potem kupił niewielką posiadłość, zwaną Woodmans Lee, niedaleko Ferest Row, w Sussex. Tam mieszkał przez lat sześć i tam też, przed tygodniem właśnie, zmarł nagłą śmiercią.

Hopkins napił się wody.

— Był to człowiek ciekawy, trochę dziwak; zwyczajnie odznaczał się purytańską wstrzemięźliwością, był surowy, milczący i ponury. W domu miał żonę, dwudziestoletnią córkę i dwoje służby kobiecej. Służbę ciągle zmieniał, gdyż praca u niego nie należała do najmilszych i mało kto mógł wytrzymać dłużej. Carey miewał okresy pijaństwa, a gdy się upił, stawał się człowiekiem nie do zniesienia. Wiadomo, że wypędzał nieraz o północy czy nad samym ranem żonę albo córkę z domu i gonił je po parku batem, tak, że krzyki ich dochodziły aż do sąsiadów. Budzili się i słuchali, co to za awantura. Raz stawał przed sądem za napad na starego księdza, który go odwiedzał i przy tej sposobności czynił mu różne słuszne uwagi. Słowem, daleko trzebaby szukać za przykrzejszym i niebezpieczniejszym człowiekiem, jak Carey. Słyszałem, że tą sławą cieszył się już, gdy dowodził okrętem. Znano go w całej marynarce jako „czarnego Piotra“. Nazwano go tak nietylko dla czarnych włosów i oliwkowej, prawie brunatnej cery, lecz dzięki przymiotom charakteru, które czyniły zeń postrach całego otoczenia. Nie potrzebuję dodawać, że sąsiedzi go nie lubili i nie słyszałem, aby kto wyraził żal z powodu strasznej śmierci, jaka go spotkała.

— A miejscowość, gdzie dokonano zbrodni?

— W protokole obdukcyi musiał pan czytać, że Carey miał swoją „kabinę“. Tak jest, kabinę. Tak nazwał sobie drewniany domek, zbudowany obok folwarku, o kilkaset kroków od właściwego domu mieszkalnego i tam sypiał co nocy. Była to mała chałupka o jednym pokoju. Dłuższa ściana miała szesnaście stóp, krótsza dziesięć długości. Klucz nosił zawsze w kieszeni, sam słał łóżko, sam porządkował i sprzątał i nie pozwalał nikomu wejść za próg. Po obu stronach domu były małe okienka, zawsze zawieszone firankami i nigdy nie otwierane. Jedno z nich wychodziło na gościniec. Gdy w nocy zapalał światło, ludzie przechodzący pokazywali je sobie nawzajem, dziwiąc się, co czarny Piotr tam robi? Muszę dodać, że dzięki temu oknu posiadamy główną poszlakę, wprawdzie bardzo słabą, ale zawsze jakąś poszlakę.

— A mianowicie?

— Przypomina pan sobie, że wiadomo, iż dwa dni przed morderstwem przechodził drogą pewien kamieniarz z okolicy, nazwiskiem Slater. Otóż on opowiada, że idąc z Forest Row zatrzymał się, gdyż uwagę jego zwróciło światło, błyszczące wśród gałęzi. Zatrzymawszy się, zobaczył na tle okna cień głowy męskiej. Wyraźnie widział brodę, ale była to inna broda niż ta, którą nosił Carey. Zresztą znał Careya dobrze. Tak przynajmniej mówił. Ale nie trzeba zapominać, że Slater spędził poprzednie dwie godziny w szynku, a z gościnca do okna wcale nie tak blizko. Zresztą to, co on opowiada, miało dziać się w poniedziałek, a morderstwo spełniono we środę.

— No... to jeszcze rzecz inna...

— Koniec końcem, we wtorek Piotr Carey był w jak najgorszem usposobieniu. Pił tyle, że był cały czerwony jak upiór, a szalał, jak dzikie zwierzę. Grasował po całym domu. Późnym wieczorem dopiero wszyscy odetchnęli, gdy zabrał się do swej kabiny. Mniej więcej o drugiej po północy, córka jego, która spała przy otwartym oknie, usłyszała straszliwy krzyk, dochodzący od strony kabiny. Ale nie była to dla niej rzecz niezwykła, bo Piotr bardzo często krzyczał i wył nieludzkim głosem, gdy go oszołomiła wódka. Nie zważano też na to.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Komunikat Biura handlow.

dla eksportu bydła

c. k. Tow. Rolniczego w Krakowie, ul. św. Jana 2.

Ceny w koronach za 100 kg żywej wagi.

Wiedeń, dnia 1 czerwca 1909 targ na bydło
1 „ „ „ „ świnie

Rodzaj	Ilość	SORTA I.	SORTA II.	SORTA III.
Woły	2460	76—82	—	68—74
Buhaje	677	66—74	—	60—64
Krowy	503	62—76	—	56—60
Bydło z paszy	—	—	—	—
Bydło ost. sorty	662	38-56	—	—
Jałownik	—	—	—	—
Cielęta bite	4803	120—148	—	86—116
Świnie węgier.	16802	127—129	110—122	96—108
„ galic. I.		110—116	—	—
„ galic. II.		—	—	90—106
Knury czyszczone i maciory tuczne			—	90—100

Uwagi: Bydła spędzono o 2451 sztuk mniej — jednakowoż ceny przeważnie zeszłotygodniowe. — Jedynie woły zyskały w cenie, lepsze od 4—6 kor., gorsze około 2 kor. — Świń również około 1200 szt. mniej, pomimo to ceną młodych od 2—4 kor. niższa, tłustych od 3—4 kor. niższa.

Ceny w koronach za 100 kg. żywej wagi.

Kraków, dnia 28 maja 1909 targ duży / 1 czerwca „ „ mały

Rodzaj	Data	Ilość	SORTA I.	SORTA II.	SORTA III.
Woły	28/V	301	57—78	57—78	—
	1/VI	4	200—215	200—215	za sztukę
Buhaje	28/V	55	56 75	56—75	—
	1/VI	27	80-120	80—120	za sztukę
Krowy	28/V	63	56—68	56-68	—
	1/VI	7	120—200	120—200	za sztukę
Jałownik	28/V	44	52—62	52—62	—
	1/VI	33	80—120	80—120	za sztukę
Cielęta	28/V	516	29—56	29—56	„
	1/VI	345	12—52	12—52	„
Owce	28/V	3	—	—	—
	1/VI	—	—	—	—
Świnie żywe	28/V	217	108—126	108—126	—
	1/VI	95	—	—	—
„ bite	28/V	—	150—164	150—164	—
	1/VI	—	158—167	158—167	—

Uwagi do targu z 28 maja 1909 r. Spęd bydła znacznie mniejszy niż w poprzednim tygodniu, wskutek czego ceny wołów podniosły się od 1—3 kor, buhai w niektórych wypadkach o około 7 kor., krów zaś od 1—2 kor. Zauważono nadzwyczajną zniżkę w cenach cieląt. Natomiast brak świń, ceny wyższe od 2—5 kor.

Uwagi do targu z 1 czerwca 1909. Spęd nieliczny — sprzedaż bydła na sztuki, świń na bitą wagę.

CENY ZBOŻA i BYDŁA.

Targ zbożowy. (Sprawozdanie Syndykatu Tow. rolniczych z targu zbożowego w Krakowie na Kleparzu dnia 1 czewca (wtorek) 1909).

Wobec małego dowozu towaru, a stale wysokiej tendencyi giełd wiedeńskiej i peszteńskiej, ceny na dzisiejszym targu uległy dalszej nieznacznej zwyżce. Chęć kupna była dobra, zwłaszcza pszenica sucha i niezrośnięta znajduje zawsze chętnych nabywców.

Sprzedawano: pszenicę białą od 00·00—00·00 kor., czerwoną od 13·00—14·50 kor., uszkodzoną 11·50 do 12·50 koron, żyto 10·30—11·00 kor., jęczmień 9·00 do 9·75, owies do siewu 11·00 do 12·00 kor., owies na paszę 10·00 do 10·50 kor., kukurudzę starą 10·10 do 10·50 koron, nową 9·20—9·60 koron, kukurudzę Cinquantino 10·60—10·90 kor., groch zwyczajny 12·40 do 13·25 kor., groch Victoria 14·60—16·00, (do siewu) na paszę 00·00—00·00 kor., wykę nową 00·00—00·00 kor., bobik 0·00—00·00 kor., rzepak 00·00—00·00 kor., otręby pszenne 6·55—6·75, otręby żytnie 6·75—6·85, koniczyna nasienna czerwona 00·00—000·00 kor., biała 00·00—00·00, tymotka 00·00—00·00 kor. Wszystko za 50 klgr.

Z miejskiej centralnej targowicy na bydło w Krakowie. Dnia 1 czerwca b. r. spędzono na targ bydła rogatego sztuk: 72, cieląt 345, owiec i kóz 00, nierogacizny 95. Razem 512 zwierząt. Płacono za jeden cetnar metryczny żywej wagi: buhaje od 00·00 do 00·00 kor., woły 00·00 — 00·00 kor., krowy 00·00—00·00 jałownik 00·00—00·00 kor., cielęta 00·00—00·00 k., nierogaciznę tuczną 000·00—00·00 kor., bitej wagi: nierogaciznę 158·00—167·00 kor. Z zakupionych na oko płacono za sztukę: woły z paszy 200·00—215·00 k., krowy 120·00—200·00 kor., buhajki i jałówki 80·00—120·00 kor., cielęta 29·00—56·00 kor., owce i kozy 12·00—52·00 kor., buhaje 00·00—00·00 kor. — Ze spędzonych na targ zwierząt sprzedano sztuk: na miejscową konsumcyę 499, na konsumcyę innych gmin kraju 148, na eksport za granicę kraju bydła rogatego 42,— na eksport za granicę kraju nierogacizny 00. Ceny powyższe obliczono bez opłaty akcyzowej.

F. Pamm
Kraków, Zielona 3-200

Wydawcy: Dr. Jan Hupka i Jan Kaczak. Odpowiedzialny redaktor: Adolf Nowak.
Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie pod zarządem Adolfa Nowaka.